

BOHUMIL HRABAL

ROMANCA



FIKCJE I FAKTY 3/1988

I

Już dłuższą chwilę stał Gaston Koszulka przed oświetloną wystawą sklepu Pramen. I kiedy już po raz kolejny zerknął w szybę, znowu upewnił się co do tego, o czym już dawno wiedział, że się sam sobie wcale nie podoba, że jest zwyczajnym nieciekawym chłopcem, który z kina wychodzi bardziej przygnębiony niż tam wszedł. W oknie wystawy widział swoją twarz i wiedział, że z takim wyglądem nigdy nie będzie tym, kim chciał być. Fanfanem Tulipanem!

I kiedy tak męczył się sam z sobą, w oświetlonych drzwiach sklepu pojawiła się Cyganka. Nacisnęła klamkę i wyszła na ulicę Główną trzymając w ręku pół bochenka chleba. Gastona zdziwiło jej ubranie. Były to dwa spięte agrafkami fartuchy. I kiedy stała na chodniku rozglądając się w obie strony, żeby nie wpaść pod tramwaj albo samochód, Gaston nie mógł się zorientować, gdzie dziewczyna ma plecy a gdzie malutkie piersi. Otarł spocone czoło i powiedział:

- No, to cześć.

A Cyganka odwróciła się i wytrzeszczyła na niego białka oczu i wymalowane rzęsy. Wydawało mu się, że coś do niego powiedziała, ale jej głos rozplątał się w ulicznym szumie. Potem wolnym krokiem nomadów przeszła przez ulicę Główną i biorąc w górę, prawie na wysokość jej czarnych włosów, pół bochenka chleba, którego biała skórka znaczyła jej wieczorną drogę. Kiedy zatrzymała się przed oświetloną wystawą Tepu, stanęła w wyzywającej pozie i patrzyła na Gastona. Wziął się na odwagę i też tam przeszedł.

- Daj zapalić - powiedziała.

Rozstawiła palce - średni i wskazujący.

Włożył między nie papierosa, i przypalając jej, odezwał się dwornie:

- Ładnie pachną twoje włosy.

- A tobie trzęsą się ręce - odparła.

- Mam ciężką pracę - mruknął.

- Co robisz?

- Jestem pomocnikiem hydraulika - zaczerwienił się.

- No, to panisko z ciebie. Ile kosztuje ten sweterek? - zapytała głębokim altem.

- Który? Ten?

- Nie, tamten różowy.

- Czterdzieści pięć koron.

- Wiesz co, kup mi go. Tylko dam siostrze te pół chleba i zaraz gdzieś sobie pójdziemy.

Nie pożałujesz, zobaczysz! - obiecywała, a kiedy zaciągała się papierosem spostrzegł rozpląmioną twarz i błyszczące oczy.

- Co zobaczę? - przestraszył się.

- Zobaczysz. Najpierw mi kup, a potem zobaczysz. Przysięgam, że będę się z tobą kochać - powiedziała i uniosła palce z papierosem jak do przysięgi.

- Za ten sweterek? - zdziwił się.

- Za sweterek.

- Ale sklep zamknięty.

- Nie szkodzi. Daj mi tylko szmal, a ja go sobie sama jutro kupię.

- Szmal?

- Szmal - powiedziała i wykonała palcami gest, jakby liczyła pieniądze.

- Ach, szmal? - zrozumiał wreszcie Gaston - słowo honoru, że dostaniesz ode mnie tę forszę.

- Jak Boga kocham, że Panienska Maria przyjdzie cię w nocy straszyć jak mi ich nie dasz. Mówię ci, że przyjdzie! - groziła i bez mrugnięcia okiem, wyzywająco patrzyła na

Gastona. A oczy miała ogromne, jak Lollobrygida. I nagle, ni stąd ni zowąd, jakby dokonała wspaniałego odkrycia powiedziała:

- Masz takie oczy - przy pomocy wskazującego i środkowego palca zrobiła malutką literkę o i przyłożyła ją sobie do oka.

- A ty jak dwie studnie.

- Tak, jak dwie studnie - przytaknęła bez zdziwienia. - Cyganki, kiedy są młode wszystko mają piękne. A ja jestem młoda - powiedziała i wyciągnęła przed siebie przygotowane na przyjęcie papierosa palce.

Gaston delikatnie włożył między nie papierosa. Sam także zapalił. Spojrzał jeszcze raz w szybę wystawową, wyprostował się i śmiało popatrzył na zatłoczoną ulicę Główną. Ludzie oglądali się na nich, a Gaston Koszulka nagle zapragnął, żeby wszyscy jego znajomi, jego koleżanki i koledzy, wszyscy jego krewni, szli teraz ulicą Główną i widzieli że stoi ze śliczną Cyganką, że spogląda jej w oczy i pali papierosa... I jak teraz idzie z nim Cyganka i mimo że ma na nogach rozlatujące się buty, stąpa drobnymi krokami, jak jakaś dama.

- Fajnie jest - powiedział i aż podskoczył.

- Co fajnie?

- W ogóle jest fajnie - zawołał - wziął Cygankę pod rękę, bo w ich kierunku zmierzała sąsiadka z zakupami.

- Dobry wieczór, pani Funderowa - powiedział Gaston wyłącznie po to, żeby go zauważyła.

A pani Funderowa postawiła torbę na ziemi, obrzuciła chłopca uważnym spojrzeniem, zauważyła, że Gaston trzyma dziewczynę pod rękę i nie mogąc się powstrzymać, zawołała:

- Biedna mama!

Cyganka zaś skręciła z Głównej, w małą uliczkę prowadzącą nad rzekę. Uliczka była cicha, pusta i odnosiło się wrażenie, że w każdej chwili może się tu coś wydarzyć. Przed rozsypanych się tyrolskim w stylu domkiem, stała wysoka gazowa latarnia. Na pierwsze piętro prowadziły drewniane schody. Część poręczy była złamana i zwisała w dół jak drabina.

Połykiwał białą skórki chleb, a Cyganka podskubywała go po kawałeczku i jadła, a białe okruszki świeciły jak białka jej arabskich oczu.

- Tutaj kiedyś - powiedział Gaston - stałem i było mi wszystko jedno. I strasznie padało. A tu, w świetle tej gazowej latarni wrzeszczały i tańczyły trzy cygańskie bachory i tylko woda po nich spływała, a one bez przerwy ciągnęły to swoje gragra glogloglo i robiły różne grymasy... a lało jak z cebra i nagle poczułem się bardzo szczęśliwy.

- To były baki mojej siostry - powiedziała i postawiła nogę na pierwszym stopniu - pójdziesz ze mną na górę?

- A czy... a co z twoją siostrą?

- Pojechała z dziećmi na zbiory chmielu.

- To dla kogo niesiesz chleb?

- Dla brata, ale on poszedł na szczytę - powiedziała i wbiegła na schody. Na górze zatrzymała się i instruowała Gastona:

- Stój, tam brakuje stopnia... na ten nie stawaj.

Gaston złapał za poręcz, ale ta z łoskotem zwała się na dół. Kiedy wygramolił się na górę, ujrzał prześwitujące przez dziurę w dachu gwiazdy. A Cyganka cieszyła się, podskakiwała i słychać było jak drewniana podłoga pęka i trzeszczy. Wzięła Gastona za rękę, kopnęła skrzypiące drzwi. Ruszyli ciemnym korytarzykiem, a kiedy otworzyła następne drzwi i weszła, Gaston aż klasnął w ręce:

- No, to cześć - powiedział.

W jednym z dwóch okien widać było wystającą z chodnika gazową latarnię, która świeciła prosto na podłogę dużego, pustego pokoju. Jej światło odbijało się w leżącym na futrynie okna lustrze, rzucając na sufit srebrne blaski, które rozsiewały po pokoju delikatnie-

tką poświęcić i jakby rozżarzały wszystkie kryształki wiszącego pod sufitem weneckiego żyrandola świecącego się jak jubilerski sklep. Wygięty strop pokoju wyglądał jak otwarty, wielki biały parasol na czterech drutach.

- Gdzieście ten żyrandol... to...? - zapytał.

- Co... to... myślisz, że rąbnęli? - powiedziała i wykonała ręką złodziejski gest.

- No... rąbnęli - powiedział.

- Przysięgam na głowy swoich dzieci - rozgniewała się i położyła chleb na framudze drugiego okna - że kupiliśmy to na bazarze. Siostra mogła sobie kupić kuchnię, ale wolała to lustro - wykrzyknęła i podbiegła do ściany, na której wisiało wielkie, od podłogi do sufitu, lustro.

Gaston odwrócił się. Wenecki żyrandol nadal odbijał się w lustrze rozświetlony jak roziskrzone noworoczne drzewko.

- My nie jesteśmy tacy zwyczajni Cyganie - powiedziała Cyganka i stanęła w pozie baletnicy. - Nasz dziadek był cygańskim baronem. Nosił marynarkę i miał bambusową laskę, i jedna moja siostra otwierała przed nim drzwi, a druga siostra mu zawsze czyściła buty. Żebyś wiedział - podniosła dumnie głowę, ale po chwili gwałtownie się rozkaszała.

- Dobra... zawsze jesteś taka przeziębiona?

- My, Cyganie tak zawsze. Byliśmy raz w teatrze na Carmen. Ona też była Cyganką i też śpiewała jakby miała chrypkę.

- A ty co robisz?

- Ja? Gotuję i sprzątam tam na górze, w cegielni, gdzie śpię - westchnęła, wzięła jakąś gazetę, podeszła do okna i przy świetle ulicznej gazowej latarni zaczęła ją czytać.

Gaston oglądał w lustrze swoją twarz. Z głowy wyrastał mu wenecki żyrandol, rozrzucając jak fontanna snopy brylantowych iskier, widział też siedzącą na oknie Cygankę, która czytała coś w białej gazecie... i kiedy na dodatek pomyślał, że gdyby ktoś z jego kolegów czy kolegów zobaczył go tutaj, to wszyscy wymyślaliby mu i krzyczeli - rozłożył szeroko ręce, okręcił się wokół siebie i cichutko roześmiał.

- Słuchaj, Czechu - powiedziała Cyganka i zeskoczyła z okna - daj czterdzieści koron, a nie pożałujesz. My, Cyganki też jesteśmy czyste. - I na dowód podniosła te dwa spięte agrafkami fartuchy i stanęła przed lustrem, w którym zajaśniały bielutkie majteczki. - No co, dasz czterdzieści? - zapytała i przytuliła się do niego.

Objął ją tak, jak to widział w kinie, ale dopiero jak pogłaskał po wystających łopatkach, przemógł się i powiedział:

- Coś ty, trzydzieści pięć i ani grosza więcej.

I pokazał jej figę.

- Niech będzie trzydzieści pięć, ale zaraz.

- Nie, potem. Aż się przekonam, że jest tak jak mówiłaś.

- Ja wiem... wszyscyście tacy. Najpierw obiecujecie, a potem dajecie dziewczynie kopa.

- Ale nie ja - Gaston wskazał na siebie i wyprostował się dumnie. - Dziewczyno, ja jak coś obiecuję, to na pewno zrobię.

- Dobra, dobra - chrypiała - ale mi przynajmniej pokaż ten szmal!

Wodziła mu palcem po piersi i przymykała oczy.

- Po co? Dałem ci słowo... a tu masz jeszcze moją rękę!

- Słowo i ręka! Najważniejsze to zobaczyć szmal. A ja tak bym chciała mieć ten sweterek. - Wzięła jego wyciągniętą do niej rękę, i położyła sobie na piersi - czy wiesz, jakby ten sweterek pięknie na mnie wyglądał? - mówiła i obejmowała go ramionami, a ręce spłotła na plecach Gastona.

Sięgnął do kieszeni w koszuli i nie wyjmując ręki, ostrożnie oddzielał banknoty, żeby nie wyciągnąć setki. Wyjął pięćdziesiąt.

- Ty naprawdę masz szmal! - wykrzyczała rozradowana i wspięła się na palce. Czółem

dotknęła jego czoła, przewracała oczami, głowę zniżyła tak, że stykały się ich oczy, poruszała lekko głową, a ich oczy zatapiały się jedne w drugich. Łaskotała rzesami jego rzęsy i wołała:

- Masz, masz! No, idziemy, czy chcesz od razu tutaj?

- Nie - przełknął ślinę i wyciągnął z ust długi włos – nie, matki nie ma w domu, to pójdziemy do nas, zrobimy sobie kawy, posłuchamy jazzu... a... - nie dokończył.

Cyganka całowała go i każdy pocałunek miał smak gorzkich migdałów. Gaston jednym okiem zerkał w lustro, które stało się dlań jakby filmowym ekranem, a drugim spoglądał na jej umalowane usta, które wołały:

- To będzie numer. Nikogo nie będzie w domu. Nikogo, nikogo. Tylko my dwoje, i kawa, i jazz!

Objął ją, a kiedy skontrolował obraz w lustrze, powiedział:

- Jesteś rozkoszna, Juleczko!

- Nie jestem żadna Juleczka. Ale forsę mi dasz, co?

- Masz, ten twój szmal!

I patrzył na filmowy ekran lustra wręczając dziewczynie pieniądze.

Wzięła je, popluła na nie, a potem troskliwie złożyła w ósemkę, podniosła fartuch i schowała pięćdziesiątkę do białych majtek.

Będąc pod wrażeniem białej skórki chleba, białej gazety, majteczek, gazowej latarni, lustra i poświaty padającej z sufitu, Gaston objął i przytulił Cygankę, a potem sunął ręką po jej boku tak, jak to robił Gerard Philippe. I czuł jak Cyganka osłania ręką te schowane pod gumką pieniądze.

Potem szli korytarzem, gdzie przez dach przeświecały gwiazdy, a Gaston roześmiał się i powiedział:

- No, to cześć - I dodał: - Moja ciotka mówi, że jak nie ma ich w kupie piętnastu, to każdy Cygan czuje się tak, jakby był sam, nieprawda?

II

Delikatne światło docierające od tylnej ściany i zielone oko radia oświetlały pokoik. Z radia dochodziła muzyka, w tle słychać było jazz, a do mikrofonu chrypiał Louis Armstrong. Teraz pewnie trzymał na kolanie tę swoją trąbkę i zachrypnięty raczej coś mrucał niż śpiewał. Brzmiało to tak, jakby po dziesiątej szklaneczce grogu, opowiadał o rzeczach, które dawno minęły...

- Ty - odezwała się z łóżka Cyganka - ty chujku, daj mi zakurzyć.

- Papierosy masz na krześle, zapalki też - powiedział Gaston.

Louis Armstrong przestał śpiewać. Gaston wyobraził sobie teraz jak bierze w czarne łapy swoją rurę, chwyta ją przez serwetkę tak jak butelkę szampana i dalej snuje melodię o dziewczynie o czarnych włosach i dalej stroi miny jakby mu szarpali wątrobę, albo jakby łykał tłuczone szkło.

- Tylko nie podpal mi pościeli - napomniął.

- Nie. A jakby nawet? Ten, to śpiewa tak, jak ja mówię.

- To taka sama czarna gęba jak ty. Popiół strzepuj za łóżko - pouczał.

- No, chodź tutaj chujeczku.

- Mam zapalić?

- Nie. Po ciemku ludzie są ładniejsi, ale...

- Jakie ale - nastroszył się Gaston - przecież nawet nie chciałaś, żebym ci rozpiął te szmaty. I pokłębem się. To co ma znaczyć to „ale”...

- Bo ciągle myślę, czy ty nie masz zamiaru mnie wykiwać.

- Dobrze bym zrobił.

- Chodź chujeczku - wierzcie się w łóżku - pozwól mi tutaj, u ciebie zostać. Wiesz... my Cyganki, jak się z kimś prześpiemy, to go od razu pokochamy.

- Nie podpał mi pościeli.

Podniosła w górę, jak tylko mogła najwyżej palący się papieros.

- Coś ty! Słuchaj, teraz myślę tylko o tobie. Słicznie cię proszę, pozwól mi tutaj spać, nie pożałujesz.

- Ja muszę wcześniej rano wstawać do pracy.

- To ty uważasz, że bym cię okradła?

- To raczej nie, ale...

- Nieźle bym wtedy od ciebie oberwała. Ty draniu! Myślisz, że nie wiem, że do tego domu chodziła Ilonka? I że tu u ciebie podcięła sobie żyły?

- Podcięła? - zerwał się, ale po chwili usiadł. - Ale nie u mnie. U sąsiada, chodził z nią Franta. Gdzie podziałś tego papierosa?

- Heja, heja, Szwecja! Gdzie masz oczy? Schowałam peta do pudełka. Ale ci mówię, że jak nasi dowiedzą się o tym Francie, to jak Boga kocham, zemszczą się na nim!

- Nie rzucaj się tak w tym łóżku!

- A co ty sobie, Czechu, właściwie myślisz? Że kto ja jestem? Ja nie jestem żadna biedna cygańska dziewczyna. Mam dwie pierzyny i zasłony na dwa okna. A mój dziadek był cygańskim baronem. Nosił niebieską marynarkę i bambusową laskę. No, ale te moje zasłony by ci tutaj pasowały?

- Może. Ale dlaczego nie chciałaś, żebym ci rozpiął te szmaty, co? Po kiego licha musiałem obejmować się rękami za szyję? Niby dlaczego?

- Chcesz wiedzieć dlaczego? Bo myślałam sobie, że mógłbyś mi to... - i zrobiła złośliwy gest ręką.

- Ja? Żebym ci miał ukraść tę pięćdziesiątkę? - zachnął się - dlaczego nie chciałaś żebym ci rozpiął te fartuchy?

- My jesteśmy ostrożni... chodź tutaj chujeczku! Usiądź tu, przy mnie na łóżku. Słuchaj, co by było gdybyśmy zaczęli razem nowe życie?

- Jeszcze nigdy tego nie próbowałem...

- To nic, wszystkiego cię nauczę. Zaczniemy wspólne życie, a jak ci się to nie spodoba, możesz mnie wyrzucić. Ale dopiero wtedy. Umieję gotować, sprzątać, przeparałabym ci, poszyła, przyniosła obiad. I cała bym się rozpięła. Tylko byś mi nie śmiał ganiać za dziewczynami.

- Ja i tak nie ganiam.

- To w porządku. Bo zaraz bym się zorientowała i skoczyła ci do Wełtawy. A jak pójdziemy potańczyć do Svetu, to gdyby ktoś chciał ze mną zatańczyć, co byś wtedy zrobił?

- Co bym zrobił?...

- Pozwoliłbyś mi tańczyć z innymi? - wyskoczyła z łóżka.

- Wytrzymaj sobie nogi, jak idziesz do łóżka, i tak są okropnie brudne.

- Dobrze - powiedziała i wytarła sobie stopy. - Lubisz rodzinę? Ale naprawdę byś pozwolił mi tańczyć z innymi? - wykrzyknęła, a kiedy ziewnął i przyglądał się nic nie rozumiejącym wzrokiem, powiedziała: - Nie spralbyś mnie? - i znowu wskoczyła do zimnej pościeli.

Gaston zamknął oczy, rękami pocierał skronie i znowu przypominał sobie swoją twarz w oknie wystawowym Pramenu na początku tego wieczoru, widział siebie w lustrze. Jaka ta Cyganka była dla niego miła, a tutaj, w łóżku najpierw wystraszona, później zażenowana i niezręczna... W trakcie tych rozmyślań, powiedział:

- Tak bym ci przylał, że ani byś się nie obejrzała!

- Wiedziałam, że tak będzie. To znaczy, że mnie kochasz! - ucieszyła się.

Rzuciła się na łóżko i opadła brzuchem na pierzynę. Machała bosymi nogami.

- Ale jestem raczej samotnikiem - powiedział.

- Nie szkodzi - powiedziała. - To dobrze. Wiesz, chujeczku, gdybyśmy byli w domu sami, to ja bym też zachowywała się tak jakby mnie tutaj w ogóle nie było. Kiedy mężowi na tym zależy, Cyganki potrafią być takie.

- A jak pojawiają się dzieci, a wraz z nimi kłopoty?

- Jakie tam kłopoty. Ja już mam małą dziewczynkę. Nazywa się Margitka.

- Szkoda. Zawsze chciałem mieć jasnowłose dzieci.

- To będziesz je miał. Margitka jest blondynką. Miałam ją z blondynem, z Czechem... Ale potem za dużo pił i wyrzuciłam go. A ona jest śliczna.

- No, ale gdzie by spała? - podrapał się w głowę.

- Tam gdzie spałam ja. W skrzyni na pościel, albo w korytarzu. A w dodatku Margitka skończy niedługo trzy lata i pójdzie ci po papierosy, po piwo, poda kapcie. Jaką szerokość mają te okna?

- Metr dwadzieścia.

Przewróciła się na plecy. Była szczęśliwa.

- Jak to dobrze. Właśnie takiej szerokości są moje zasłony. Będą tutaj przepięknie wyglądały. I żebyś wiedział... - spuściła nogi z łóżka, podniosła fartuch - tutaj jest te pięćdziesiąt koron. - Miejmy coś na początek, wiesz.

Z białych majteczek wyciągnęła starannie złożony w ósemkę banknot i położyła na taborecie, na który padało zielone światło magicznego oka.

- Ile masz lat? - zapytał.

- Osiemnaście. Byłabym dla ciebie ładna ze dwadzieścia lat. A ty ile masz?

- Dwadzieścia trzy.

- Najlepszy wiek. Jako chłop pociągniesz mi jeszcze z piętnaście. Ale jakbym poszła tańczyć z innym, naprawdę podbiłbyś mi limo?

- Jasne, że bym podbił!

- Przysięgnij!

- Przysięgam!

- No, teraz ci wierzę. Zobaczysz co potrafi Cyganka kiedy kocha. Wszyscy ci będą zazdrościć! Ty jesteś moim mężem i panem. Jesteś teraz dla mnie wszystkim!

Mówiła z godnością, próbowała nawet zmienić barwę głosu. Gaston rozejrzał się po pokoiku, który teraz wydał mu się brzydki i smutny. Kiedy przypomniawszy sobie ten pokój z weneckim żyrandolem i gazową latarnią przed oknem, nie pragnął niczego więcej jak tylko spakować swoje manatki i na zawsze stąd odejść, przenieść się tam na Żydowo, do tego walecznego się domu, gdzie przez dach w korytarzu przeświecają gwiazdy i gdzie wieczorem można czytać gazetę przy świetle ulicznej latarni.

- Co na to powie moja matka - powiedział.

- Zostaw to mnie. Powiem jej krótko: Pani, ja też jestem człowiekiem. Ale co będzie jak twoja matka powie: Cygankę weźmiesz sobie tylko po moim trupie! Co ty wtedy na to?

- Powiem jej: „oczywiście, że po twoim trupie!”

Podawała mu usta.

- Teraz z miłości - powiedziała.

Potem rozpinął jedną agrafkę po drugiej i trzęsły mu się ręce, kiedy te dwa rozpięte fartuchy jak księży ornat spływały na podłogę. A z tyłu, z radia, dochodziły dźwięki jazzowej melodii. Trzy Murzynki głębokim głosem śpiewały... „O, Johnny!”... Trzy Murzynki śpiewające niemal basem, miało się wrażenie, że stoją na drabinie w głębokiej, dudniącej studni, a z gardła każdej z nich dobywały się słowa o szczęściu i o nieszczęśliwej miłości... „O, Johnny, my darling!”...

III

W krzakach pod zamkiem zaśpiewał pierwszy ptak. Później dołączyły inne i powietrze poranku wypełnił ptasi śpiew. Uczepiony Cyganki Gaston zatrzymał się przed tablicą z filmowymi fotosami. Na plakacie Gerard Philippe w rozpiętej koszuli trzymał w ręku szpadę.

- Chciałbym choć raz być Fanfanem, choćby przez jeden dzień - westchnął Gaston.

- To ten? - pokazała.

- To żaden ten. To Gerard jako Fanfan Tulipan, rozumiesz?

- No to co? Słuchaj, coś ci powiem. Jesteś pomocnikiem hydraulika, tak? A jak ludziom nie spływa woda w sraczu, to kto przyjdzie? Ty! A jeżeli nie ma wody, to kogo wołają? Ciebie! To o tobie i o mnie powinni zrobić film. Ty masz swój poważny zawód i jesteś ludziom potrzebny, to po co miałbyś skakać po dachach z szablą w ręce? Jak dojdziemy do cegielni, sam zobaczysz: co drugi Cygan to Fanfan Tulipan, a robi cegły, i z tych cegieł buduje się domy.

- Kiedy Gerard jest taki piękny!

- Piękny, piękny - przedrzeźniała go Cyganka, chwyciła za róg plakatu i zerwała go jednym szarpnięciem. - Kiedy pójdziemy do ślubu, zaproszę swoich krewnych, tych co rozwożą węgiel. Zobaczysz aż czterech Gerardów naraz! I przyjdzie mój dziadek w niebieskiej marynarce i z bambusową laską - mówiła z przejęciem.

Potem przechodzili obok pomnika Podlipnego, który palcem przywoływał do nogi rozbiegane psy.

- Jesteś tak samo fajny, jak mój tata Demeter. Nosił mnie na ręku, palił papierosa, a matka szła za nim. Od czasu do czasu dawał jej peta, żeby się też sztachnęła. Tata rozwoził węgiel na Żizkowie i ludzie mówili, że wygląda jak jakiś naczelnik.

Cyganka paplała bez przerwy i kiedy szli wzdłuż starej odnogi Wełtawy, Gaston po raz pierwszy poczuł, ile wiary w siebie potrafi człowiekowi wlać do serca drobna kobieca dłoń. Zaczynało już świtać. Widać było wędkarzy o plecach podobnie wygiętych jak ich wędkę. Na końcu wyspy Manin wyły w klatkach psy, a drzewa i krzewy trzęsły się od ptasiego śpiewu.

- Krótko mówiąc, jesteś pomocnikiem hydraulika i kto tu jest ważniejszy? - podsumowała Cyganka.

- Wiesz - zwierzył się jej Gaston - ten mój nowy majster, to pies. Ciągłe żąda, żebym mu mówił na ty. Ale zrozum dziewczyno, jak ja mam mu mówić po imieniu, kiedy on jest ode mnie dwadzieścia lat starszy. A kiedy nie robię tego, pokazuje mnie całej gromadzie palcem i woła:

- Ludzie, widzieliście kiedy takiego wała?

- No, to cześć - powiedziała Cyganka.

- No widzisz - roześmiał się Gaston. - Bo wiesz dziewczyno, zdaję sobie sprawę, że mój majster ma rację, kiedy mówi: słuchaj, jak sobie będziemy mówić po imieniu, to ja ci pokażę wszystkie kruczki, żeby porządnie robić, mogę też cię opieprzyć, a tak to co? A ja na niego patrzę i mówię: nie gniewajcie się panie majster, ale przecież pan ma już dorosłe dzieci, a poza tym nie mogę w robocie równać się z panem. Pan jest mistrz, gdzie mi tam do pana. A majster znowu pokazuje mnie palcem całej gospodzie i woła: słuchajcie, Gaston wstydzi się swojego majstra. Ludzie, widzieliście kiedy takiego wała? Tak o mnie mówi i znowu krzyczy: Gastonie, ty mnie musisz przeskoczyć, ty musisz patrzeć na moje ręce, żebyś to umiał robić jeszcze lepiej niż ja. Gastonie, żrebię, kiedy przestaje doić kobyłę, to ją kopnie. Ale jak nie chcesz do mnie mówić po imieniu, to od dzisiaj koniec, to nie będzie praca, tylko wojna, to nie będzie wojna, tylko obóz koncentracyjny! I Gastonie, koniec ze wspólnym żarciem - tak majster wrzeszczał i otworzył torbę, i wywalił z niej moją menażkę z obiadem i łyżką na podłogę. A jak chciałem ją podnieść, to ją kopnął jeszcze dalej.

- To ty się nazywasz Gaston? Gaston, Gaston! Ja ci coś powiem, Gastonie, to jest o wiele ładniejsze imię od tego Fanfana. Słuchaj Gastonie, dlaczego nie powiesz majstrowi na ty! Jesteś przecież jego pomocnikiem, no nie? - powiedziała kiedy weszli na Trojski most. Przystanęli, a ona głaskała szorstką powierzchnię bariery.

- Dotknij, czuje się jeszcze wczorajsze słońce. Dlaczego nie chcesz mówić majstrowi Ty.

Gaston przechylił się przez barierę, potem objął Cygankę i wyszeptał:

- Jestem nieśmiały.

I wskazującym palcem pokazał w dół.

A tam, na brzegu, leżał na pierzynach olbrzymi, nagi Cygan, leżał na wznak, i całe ciało miał wytatuowane. Jedną rękę położył pod głowę, a mięśnie miał takie, że wyglądały jak poduszka, i długie wąsy podobne do końskich ogonów. W drugiej ręce trzymał papierosa i patrzył na ostatnie gwiazdy na modrym niebie. Obok, z twarzą ukrytą w poduszce leżała kędzierzawa głowa. A spod przęsła mostu widać było dyszel bryczki okrytej brezentem i zad gniadego konia, który od czasu do czasu machał ogonem.

- Nasi - powiedziała z dumą Cyganka - przyjechali wozem z daleka. Pewnie będą tu szukać pracy, jak my w zeszłym roku.

- Tak, ale jak to jest, że konia postawi pod mostem, a sam leży na ziemi?

- Póki nie przyzwyczai się tak jak my. My też, jak jest ładnie, wolimy spać na dworze. W domu nam duszno... Mój tata Demeter był tak samo wytatuowany jak on. W niedzielę szliśmy do niego do łóżka i wodziliśmy po nim palcem jak w książce z obrazkami, a tata śmiał się, bo miał łaskotki.

- Jak to miło, że są jeszcze na świecie tacy ludzie - powiedział Gaston.

Kędzierzawa głowa obok wąsacza odwróciła się, ręce rozgarnęły zmierzwione włosy. To była Cyganka. Przeciągnęła się i ziewnęła. Potem Cygan, który ciągle spoglądał w niebo, podał jej swój papieros, a Cyganka też popatrzyła w jaśniejące niebo i pociągnęła, potem oddała papieros i Cygan znowu smakował niebieski dym. Ludzie oczekujący na tramwaj przechylali się przez barierę mostu, a Cyganie nadal dzielili się papierosem i palili, i patrzyli w różowiejące niebo.

Zgasła ostatnia gwiazda. Potem nadjechał tramwaj.

Wskoczyli na stopień, stanęli na tylnym pomoście, a Cyganka bardzo dumna, wyprostowała się i patrzyła śmiało w oczy tym, którzy obserwowali leżących na brzegu Cyganów. Przedwcześnie przebudzeni ludzie drzemali albo tępo patrzyli w podłogę. Wzdłuż plotów otaczających willę szła kobieta i niosła bambusowy kij, którym gasiła latarnie.

- Mój dziadek miał niebieską marynarkę i bambusową laskę - mówiła Cyganka - a kiedy spotykał na ulicy kłócącą się i plującą na siebie rodzinę, to miał takie prawo, że tylko zrobił bambusową laską tak - Cyganka zakreśliła w powietrzu koło - i już było po kłótni. A jak ktoś z tej rodziny jeszcze się rzucał, dziadek robił palcem tak - Cyganka kiwnęła paluszkiem - a Cygan musiał podejść do dziadka, a ten, jako cygański baron, dzielił go laską przez łeb... i koniec.

- Czy to aby prawda - zapytał Gaston.

- Gastonie, przysięgam na głowy naszych dzieci, że nie kłamię - pośliniła palce i podniosła je jak do przysięgi - przecież dziadek, jako baron sędziował też mecz piłki nożnej. W Rozdzielowie grało przeciw sobie dwudziestu na dwudziestu Cyganów a dziadek....

- Coś ty, dziewczyno, w piłkę nożną gra się przecież w jedenastu - powiedział Gaston i przestraszył się, bo z ławki podniósł się jego majster. W czasie jazdy zerkał w stronę swojego pomocnika, patrzył to na niego, to na Cygankę, która tupnęła nogą:

- Jak mówię dwadzieścia, to dwadzieścia! Przecież tam byłem, a dziadek sędziował bambusową laską. Na szyi miał zawieszony na złotym sznurku srebrzysty gwizdek, a jak ktoś kogoś za mocno kopnął, dziadek gwizdał i robił palcem tak - i Cyganka pokiwała palcem - a

ten, który tak ostro grał, przybiegał do niego, a on jako cygański baron, walił go bambusową laską w łeb. Piłkarz łapał się za głowę i tylko jęczał: „O, jeju, jeju, jeju”. A jak mu przeszło, to grał dalej.

- Tak powinno być i u nas na boisku. I w pracy, wiesz Gastonie - odezwał się majster.

- Hola, wolnego panie. Jak pan jest zalany, to niech się pan zajmuje sam sobą, dobrze? - błysnęła oczyma Cyganka.

- To jest mój majster - przedstawił go Gaston.

- To pan? - zdziwiła się Cyganka.

- A to jest moja... narzeczona - powiedział Gaston.

- Gastonie, Gastonie - kiwał głową majster - od dzisiaj znowu razem jemy... mów mi pan albo ty, jak ci się podoba... jesteś mistrz, jesteś bardzo dobry... ja sobie nigdy nie pozwoliłem na Cygankę... tylko o niej śniłem... Cyganko ty piękna, Cyganko ty mała - zaśpiewał pijackim głosem.

Majster stał na stopniu, a poranny wietrzyk rozwiewał mu rzadkie włosy. A tramwaj zwalniał.

- Panienko, widziała panienska kiedyś takiego wała - i pokazał na siebie, ukłonił się, szurając jednocześnie nogą i zeskoczył.

- Majster, gdzieś ty się znowu włóczył? - Gaston wychylił się z tramwaju. - Odprowadzić cię do domu?

Majster podniósł do góry ręce, jakby się poddawał, jakby uznawał przewagę młodych... Na górze, kiedy wysiedli z tramwaju, Gaston przytulił się do Cyganki i zaczął jej opowiadać:

- Wiesz, ten mój majster nie jest taki zły, chociaż za dużo pije. Ale on nie ma już nikogo. Był żonaty i miał dzieci, ale kiedy wyrosły, to jego kobieta powiedziała mu, że te dzieci nie są jego, i że ona odchodzi do tego, z którym ma te dzieci, i że mu dziękuje za ich wychowanie... Majster, jak sobie to wszystko przypomni, siedzi nad piwem i tylko przygląda sobie włosy i ociera oczy, a jak skończy opowiadać, to pyta: Słyszałeś kiedyś Gastonie coś podobnego? Bo ja nie. Że się to musiało akurat mnie przytrafić.

Potem, wąwozem wyszli za miasto i szli wzdłuż płotu cegielni. Pod akacją stał starzec przepasany parcianym pasem ze strzelbą w ręce.

- Kto tam? - zapytał.

- To ja ojczu, ja - wychrypiała Cyganka.

- Włóczę mi się tutaj różne typy. Dojdzie kiedyś do nieszczęścia, bo ja nikogo trzy razy ostrzegać nie będę, tylko od razu pošlę mu kulę prosto w łeb - złościł się stary dozorca.

- Ojczu - zawołał Gaston - przyprowadziłem Cyganeczkę.

Staruszek podszedł do płotu, zarzucił strzelbę na ramię.

- Ty ulicznico jedna, już dawno powinnaś spać - zawołał - a co on tutaj robi?

- To mój kochaś - powiedziała.

- Kochaś? A wie przynajmniej jak się nazywasz, co?

- Tego nie wiem - odpowiedział Gaston.

- A już z nią spałeś. To jest tak samo jak za moich młodych lat - cieszył się stary i otworzył bramę. Wziął Gastona pod rękę i ciągnął dalej: - To mi się podoba, tylko wytrwajcie w miłości. Ja też, szedłem kiedyś lasem do Zwierzynka, spotkałem kobietę i zanim doszliśmy do wsi, poprosiłem ją o rękę, a ona powiedziała „tak”. Dopiero później przedstawiliśmy się sobie. Dwa lata żyliśmy na kocią łapę, ale za to potem, tośmy dopiero urządzili weselisko... Nie słyszeliście nic? - wyprostował się staruszek i podniósł nogę, jak ogar.

- Nie - wyszeptał Gaston.

- To dobrze, bo ja lepiej widzę niż słyszę. I stale mi się śni, że mnie złodzieje zatłukli przy kasie - mówił stary i szli dalej pośród różowej mgły, po niebieskiej trawie.

- Ciężką macie służbę, ojczu - powiedział Gaston.

- Aż za ciężką - westchnął dozorca - ale mnie to dobrze robi. Przypadałeś sobie Cyga-

nkę? Mądry z ciebie człowiek. I powiem ci, że nie będziesz tego żałował, tylko trzymaj ją krótko za uźdę, a będziesz miał w domu raj. Ta moja też była z wozu... była cyrkówką. Ale jako żona, była prima. Ty ulicznico jedna, zimno ci, widzisz? Tak młody, chodź zobacz, gdzie Margit, twoja przyszła żoneczka będzie spała.

- To ona jest Margit - zawołał Gaston - jakie to piękne imię.

A Cyganka trzęsła się z zimna i śmiała się gardłowym śmiechem.

A stary dozorca wskazał na laszek kwitnących akacji, pod którymi spali na pierzynach Cyganie, jedni z rękami przerzuconymi przez poduszkę, jakby płynęli ciałem przez polankę, inni, zwinięci w kłębek, jeszcze inni jak martwi. Ale wszyscy spali zdrowym, spokojnym snem. Kilka dziecięcych główek zdobiło tę cygańską sypialnię kędzierzawymi lokami.

- Mają mieszkania, ale jak przyjdzie lato, upalne noce, to w barakach się duszą. Wiesz, gorąca krew - pokpiwał stary dozorca.

A tam w dole, z niebieskiego oparu, wynurzała się Praga. Palły się jeszcze elektryczne latarnie i oświetlały miasto girlandami świateł, jak w cyrku, w którym zapomniano wyłączyć żaróweczki. Żarzyła się jeszcze czerwonymi, ostrzegawczymi lampami wieża w Petrzynie, a piorunochron strzeszowickiego komina błyszczał rubinem. A tymczasem tutaj spali robotnicy z cegielni i na nich spadały kwiaty z przekwitającej akacji... Cyganie, byli koczownicy, którzy jeszcze niedawno, w myśliwskich kapelusikach i z kolczykami w uszach przyjechali do Pragi, żeby zamienić romantyczne wędrówki na zwyczajną pracę.

- Nie mogę spać pod drzewem - chrypiała Cyganka - ciągle mi się zdaje, jak mi na głowę opadają te kwiaty, że to ómy siadają na mojej głowie, albo że pada śnieg - przeskakiwała z nogi na nogę. - Gastonie, cześć. Będę jutro koło Svetu. Zaczekam obok tablicy z Fanfanem... albo wiesz co. Przyjdź po mnie tutaj, do nas, na Żydowo... cześć. - Krzyknęła i przeskakiwała zwawo przez śpiących. Potem, przy kwitnącym krzaku czarnego bzu pomachała mu ręką i dwa, spięte ze sobą fartuchy, były coraz mniejsze, a ona wślizgnęła się pod pierzynę do śpiących dzieci.

- Chodźmy już - przestępował z nogi na nogę stary dozorca - tutaj pachnie chuliganami, a oni dobraliby się do kasy nawet przez dach. Ale nie wiedzą na kogo trafili. Na mnie, który nikogo nie ostrzega, tylko od razu strzela. No co, poderwałeś Cyganeczkę? - zapytał, Gaston zaś zobaczył jak spod jednej pierzyny wygramoliło się małe Cyganiątko w koszulinie z kołnierzykiem, podeszło na skraj zagajnika i siusiało na całą, leżącą u stóp góry Pragę.

- Spójrz - powiedział stary dozorca pokazując na chłopczyka. - Może to jest przyszły prezydent... kto wie - i dodał - poderwałeś Cyganeczkę, ale co na to w domu? Co będzie jak matka powie: Cyganka, tylko po moim trupie! Co jej odpowiesz, no?

- Odpowiem, to po twoim trupie. Ta Cyganka postawiła mnie na nogi, zrobiła ze mnie człowieka - powiedział Gaston. Podparł się jedną ręką w bok i spoglądał na dół, gdzie przez biały most jechał tramwaj, przypominający organki, a w jego szybach odbijało się poranne słońce...

(Pábitelé 1964)

Z czeskiego przełożyła ZOFIA JĘDRZEJOWSKA-WASZCZUK